№ 44. Warszawa, dnia 31 (19) Października 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2 Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Stefek jest głupcem — zawołała z oburzeniem Helena, — on zawsze do całego świata miał pretensyę, on Ohanie darować nie może, że się z nicości ponad innych wynieść potrafił. On mu zazdrości jak każda miernota.

Widząc uniesienie żony i gniew, z jakim mówiła o swym bracie, Szymonowicz znowu uważniej spojrzał na nią. W tych słowach, w tem uniesieniu, w tej sytuacyi czuł coś więcej, aniżeli zwykłe oburzenie na niesprawiedliwość, i mimowoli przyszły mu na myśl słowa Stefana, wyrzeczone przy rozmowie poufnej o Ohanie: „Pamiętaj, miej się na baczności przed tym człowiekiem—nie wierz mu!"

Ale je wnet odrzucił. Dlaczego on się miał obawiać Ohany, czemu się miał odeń usuwać, przecież nie zauważył nic takiego, coby cień jakikolwiek ciemny na niego rzucić mogło.

Ohana był uczciwy w interesach, solidarny we wspólnej pracy, uczynny, wychodził z każdym jak najlepiej. Więc cóż stało na przeszkodzie do przyjaznego pożycia sąsiedzkiego pomiędzy Nikoresztami a Teleszówką? Wprawdzie świdrowała mu w głowie jeszcze jedna myśl daleka, niejasna, ale ją oddalał od siebie, jako coś nieprawdopodobnego, fantastycznego. Myśl ta zrodziła się w nim od pierwszej wizyty Ohany, i teraz tkwiła w jego duszy, kłując od czasu do czasu niby ostrze włóczni. Nie przyznawał się do niej przed nikim, nawet przed samym sobą...

Na żonę spojrzał znowu, a dostrzegłszy, że gniew już znikł, oburzenie przeszło, irytacya ustąpiła, przysunął się bliżej, a ujmując ją wpół, pocałował w same usta.

— Dajmy już pokój temu Ohanie, jego przyjaciołom i nieprzyjaciołom. Pocałuj mnie lepiej, widzisz już tak dawno mnie nie całowałaś, a przecież mnie kochasz?

Słowa te przywróciły młodej kobiecie całą pewność siebie. Chociaż ten człowiek, który w tej chwili tulił się do niej, był jej już prawie obcym, chociaż sama obecność jego była jej niemiłą, a prawa, jakie miał do niej czyniły go wstrętnym, zdołała jednak wymódz na sobie coś w rodzaju czułości. Odczuła też przykrość, odrażającą przykrość, zdobywając się na uściski dla męża, pomimo, że przecież przywykła do tego przez lat tyle. Jakiś niewidzialny mur duchowy dzielił ją teraz od niego. Swoboda dawna znikła, rozwiała się, czuła obecnie jakąś pełnię miłości duchowej i zmysłowej dla tamtego, a dla męża oprócz szacunku i pewnej wdzięczności nic—nic więcej.

To też odpowiadając czułością na czułość jego, doświadczyła przymusu niewysłowionego, a nawet odrazy.

— Helciu, ja trochę jestem niespokojny o ciebie — szeptał Szymonowicz, spoglądając namiętnie w jej oczy.

— A to czemu?

— Czy ja wiem — powtarzał w rozmarzeniu wzrastającem.

— Więc czemuż mi przykrość robisz, powtarzając takie bałamutne myśli, przecież wiesz, że mi to przyjemności nie sprawia.

— Wiem, ale tak... Daruj mi więc i nie gniewaj się. Co, nie gniewasz się?

Pytał dalej, i całował ją namiętnie.

— Helciu, kochasz mię bardzo?

— Kocham — szepnęła.

— A czy tak samo mię kochasz, jak dawniej?

— Tak samo...

Słysząc te słowa, wychodzące z jej ust, ujął ją wpół, i przycisnął gwałtownie do siebie, mówiąc półgłosem:

— Bo ja, ja cię teraz jeszcze więcej kocham, i biada temu, ktoby mi to kochanie wydrzeć zamierzył.

Ona zbladła, przytuliła się do męża, jak gdyby szukać chciała na przyszłość przebaczenia jakiego, czy względów pewnych; bo serce jej się ścisnęło nieuchwytnem, złowrogiem przeczuciem.

A on w roznamiętnionej, rozburzonej wyobraźni ujrzał nagle przesuwające się w milczeniu, ironicznie uśmiechnięte oblicze Ohany—Ohany młodego, pięknego, bogatego.

Jakby się tem widziadłem przeraził, jakby zapragnął zjednać ją sobie przeciwko niemu, zerwał się nagle, a upadłszy jej do nóg mówił:

— Heluniu, ja ciebie tylko jedną jedyną kocham na świecie, i chcę być tylko sam jeden kochany.

— Dobrze, dobrze — kłamała, byle tylko położyć raz koniec tej scenie, która udręczać ją zaczynała nad siły prawdziwie.

Na Szymonowicza twarz starą, pomarszczoną wypełzło tymczasem spojrzenie zmysłowe, oczy się paliły ogniem namiętności, wypełniającej mu w tej chwili duszę i ciało. Czuł się szczęśliwym, pierwszy raz tak szczęśliwym, bardzo szczęśliwym, bo dopiero teraz poznał, co to jest miłość.

V.

Od dawien dawna 20 Sierpnia, zaraz po żniwach zaczynał się w Otakach dwudniowy jarmark.

Zwykle spokojne miasteczko roiło się w ciągu tych dwóch dni tłumami różnojęzycznymi kupu-

jących i sprzedających, a że w tym roku żniwa wypadły pomyślnie, rezultaty były świetne, ceny dobre, więc też i na jarmark spieszono liczniej, niż w inne lata. Kto tylko mógł z okolicznych obywateli zjeżdżał na te dni do Otak. Robiono tranzakcye zbożowe, kupowano konie, bydło i załatwiano mnóstwo interesów wszelkiego rodzaju.

Pogoda była śliczna, ani jedna chmurka nie brudziła wesołego lazuru nieba, w powietrzu pomimo gorąca czuć było świeżość. Całe trzy dni przed jarmarkiem padały deszcze, jakby umyślnie dla odświeżenia letniej, upalnej atmosfery. Ulice roiły się tłumami chłopów, których po ubraniu można było odrazu rozróżnić. Lackuny w swoich białych lub burych kapotach, rusnaki i rajhunowie z pod Chocimia, tworzyli gęstą a różnobarwną mieszaninę. Nad wszystkimi dominowały jednakże gromady mołdawian o twarzach śniadych przeważnie, o oczach czarnych, błyszczących. Mieli na sobie kapoty krótkie lniane, ściśnięte pasami czerwonymi, na głowach sterczały im wysokie stożkowane czapki baranie. Z baranią czapką i długim batem zadzierżgniętym na krótkiem biczysku, chłop mołdawski nigdy się nie rozstaje. Nawet gdy zarzuca strój narodowy, wyszywany, szamerowany w przeróżne desenie, zamieniając go na tandetny tużurek, żakiet, marynarkę — baranią czapkę swoją zachowuje zawsze. Po niej można go najłatwiej poznać; zresztą typowy chłop mołdawski wszystkiem wyodrębnia się od swego brata Słowianina, i mową, którą kocha, uważając ją za coś doskonalszego od gwary ruskiej, i twarzą, dziwnie przypominającą typ starorzymski, wreszcie ruchami pełnymi życia.

W oczach świeci mu spryt i chęć naśladowania tak samo, jak u jego zachodniego współplemiennika Francuza lub Włocha.

Rano było jeszcze; zdążano więc do miasteczka ze wszystkich stron. Co chwila przeciągający długim sznurem tłum musiał ustępować, gdy środkiem ulicy jechał już to szaraban, tłukąc się niemiłosiernie po kamieniach, którymi wypełniono wyboje, już to wolant elegancki, staroświecki faeton, albo powóz familijny. Czasami zaplątał się pomiędzy te pańskie pojazdy wóz chłopski, jeden, drugi, a napierany z przodu i z tyłu zjeżdżał na bok, oczekując wolniejszej drogi.

Wszystko jechało wprost do zajazdów, otwartych na oścież wzdłuż głównej ulicy. Dzierżawcy, oficyaliści, pomniejsi właściciele ziemscy obierali sobie zajazdy tańsze, podczas gdy panowie zajeżdżali jeden przez drugiego do dużej gospody Muńki Fibermana, który na czas jarmarku wyporządzał cały dom swój dla bojarów i domnów okolicznych.

Właśnie Muńka stał przed swym zajazdem w czarnym chałacie letnim, zapiętym na wszystkie guziki, gładził sobie długą, poważną brodę siwą i przyglądał się tłumowi gawiedzi włościańskiej, śpieszącej wśród krzyku i hałasu za jakimś akrobatą, któremu tylko wysoką jego czapkę śpiczastą z czerwonego płótna widać było zdaleka. Popychano się, kłócono zawzięcie, wymyślano sobie po rusku i mołdawsku; każdy chciał być bliżej komedyanta, szukającego zapewne miejsca jakiego szerszego dla rozłożenia dywanika i zaprodukowania na nim swoich sztuk kuglarskich.

Tłum jak wąż żywy o mieniących się na słońcu barwach wił się i sunął powoli ku majdanowi. Czasami tylko przystawały pojedyncze pary i wstępowały do szynków, przepełnionych pijącymi i gwarzącymi.

Z wnętrza tych nizkich, okopconych, ciemnych izb dolatywały raz po raz jakieś krzyki, jakieś głosy przeraźliwe, jakieś śpiewy bezładne.

Muńka stał z jednakim zawsze spokojem, i brodę gładził. Patrząc na niego, można było sądzić, że go nic nie obchodzi, że ten tłum, o który się co chwila ocierał, był dlań zupełnie obojętny. Skoro jednak dostrzegł jakiego pana lub panią, przechodzących koło niego, natychmiast zdejmował wysoki kaszkiet czarny, i kłaniał się uniżenie.

W tej chwili przed gospodę zajechał zgrabny, wylakierowany świeżo faetonik. W faetoniku siedziało dwóch młodych ludzi: jeden — wysoki blondyn w jasnym piaskowego koloru zgrabnie przykrojonym garniturze, drugi — brunet średniego wzrostu o szerokich barkach i ogromnych wąsach. Od razu w pierwszym można było poznać człowieka z dobrymi manierami, eleganckiego, wytwornego w ubraniu i ruchach; drugi miał minę typowego obywatela bessarabskiego. Odziany był w granatową bluzę austryacką, opinającą jego biust potężny, muskularny i takiegoż koloru spodnie wązkie, wpuszczone w cholewy długich palonych butów.

Byli to młodzi panowie Antoniewicze, Antoni i Jan, rodzeni bracia, chociaż zupełnie nie podobni do siebie.

Pierwszy zeskoczył z faetonu pan Jan, ów brunet, a widząc stojącego w kornej postawie Muńkę zawołał głośno:

— Jak się masz, panie Muńka!

— Zdrów, proszę łaski jaśnie pana, jak zawsze.

— To dobrze. A pomieszczenie dla nas i dla naszych koni zostawiłeś?

— A jakże, czy mógłby stary Muńka zapomnieć o swoich panach i dobrodziejach.

— Widzę, że tu wszędzie pełno — odezwał się pan Antoni do brata, krzywiąc się nieznacznie.

Lecz Fiberman usłyszawszy to, rzekł śpiesznie z uśmiechem:

— Ciasno? Tu wcale nie ciasno, proszę pana, tu drugie tyle jeszcze się musi pomieścić. Czekam na panów Demianowiczów, Domaszkanów, Pelenów, których dotąd nie widać. Czy to pan pierwszy raz u nas?

— On ma racyę — odezwał się Jan, — będzie ich tu jak śledzi, a co nas to obchodzi, przecież cały dzień w tych smrodach pozostawać nie potrzebujemy, jeżeli zaś wypadnie nocować, to Muńka nam da pokój, nieprawda?

— A jakże, a jakże — powtarzał żyd, głaszcząc się po brodzie.

— No, my idziemy zaraz na miasto, wstępować w tej chwili nie będziemy, pamiętaj, jednak panie Muńka o pokoju, żebyś go dla nas zostawił.

— Już jest dla panów wyznaczony — odezwał się Muńka, — numer 5, tam na górze w oficynie, obok pokoju, co zwykle pan Domaszkan stary z synem zajmuje.

— Dobrze, każ więc znieść tam rzeczy nasze i poskładać pakunki, jakie przysłemy.

— Hryhor — dodał pan Jan krzycząc na furmana, który właśnie zajeżdżał na dziedziniec, — pamiętaj, ażeby konie nie były głodne.

— Dobrze, panie? — krzyknął chłop, i przecisnął się z faetonem pośród porozstawianych w nieładzie pojazdów różnych.

Młodzi ludzie złączywszy się z tłumem szli prosto ulicą Bałcką na majdan, gwarząc wesoło.

— Jaki wściekły upał — zaczął pan Antoni, strzepując ze zgrabnej marynarki kurz białą batystową chusteczką.

— Daj pokój, mój drogi, Pan Bóg jeszcze łaskaw, że tak odświeżył powietrze wczorajszym deszczem, gdyby nie ten deszcz, co lał przez dwa dni, nie byłbyś tu w stanie wysiedzieć ani godziny jednej. No jakże ci się podobają teraz po Wiedniu te nasze Otaki? — zapytał z uśmiechem.

— A to zestawienie znakomite: Wiednia z Otakami—nieba z błotem.

— Wiesz, mój bracie, i Wiedeń ma swój urok i Otaki także, tylko trzeba umieć patrzeć. Patrz ten tłum włościański wesoły, gwarny, a taki inny jak owe gromady miejskie, włóczące się w dnie świąteczne po praterach. Mnie zawsze irytowała gawiedź wiedeńska; niby to rozbawione, rozweselone, ale tak nienaturalnie, tak niesympatycznie jakoś.

Pan Antoni słuchał w milczeniu, i rozglądał się po owym tłumie różnobarwnym, zapełniającym majdan Otocki.

— Co oni robią ci ludzie? — odezwał się półgłosem, — ani kupują, ani sprzedają, wyją i wyją bez końca, aż uszy bolą.

— Mój kochany — rzekł pan Jan, — wyją? A co mają robić, toć to jedyna ich rozrywka ten jarmark, odbywający się raz do roku. Każdy, kto może, biedny, bogaty, chłop i pan, przyjeżdża tu, i szuka wrażeń. Kto ma interes, to go załatwia, a potem się gapi.

W tej chwili rozległ się dźwięk kastanietów przy akopaniamencie fletu i piszczałki. Tłum ruszył śpiesznie w tamtę stronę, jedni drugich popychali, kułakowali, byle stanąć prędzej przy komedyantach, rozpoczynających swoje przedstawienia.

— Pójdziesz za nimi? — zwrócił się pan Jan do brata, — zobaczysz ten zachwyt chłopów, w jaki wpadają na widok cudów, wykonywanych przez kuglarza. Powiadam ci, to ciekawa rzecz dla takiego jak ty turysty.

— Chodźmy, tylko ostrożnie, bo o mało-żem się już coś ze dwa razy nie przewrócił na garnki jakieś.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kongres międzynarodowy berliński

w obronie

praw i dążeń kobiety.

(Dokończenie.)

Cały dzień zajęło uczestniczkom kongresu roztrząsanie zagadnienia postawionego przez panią Jeanetę Schwerin. Szło o to: czy wogóle są takie obszary działalności niewieściej, na których spotykać się powinny zjednoczone usiłowania kobiet wszystkich krajów i narodowości?

Jakkolwiek w artykule wstępnym wyraziliśmy naszą opinię co do wszelkich międzynarodowych

stowarzyszeń kobiecych, powtórzymy tu w streszczeniu, o co upominały się stronniczki przeniesienia pracy kobiecej po za granice własnego kraju i po za obręb własnej społeczności, i z jakiego wyszły co do tego punktu założenia te z pomiędzy uczestniczek kongresu, którym jak się zdaje, właśnie na tym międzynarodowym charakterze najwięcej zależy.

Przedewszystkiem wydaje się tym paniom, że tak dobrze myśl sama całkowitego zrównania w prawach kobiety z mężczyzną, niemniej kwestya obyczajów i sprawa wstrzemięźliwości, tylko przez solidarną agitacyą dają się wprowadzić w życie. W dalszym ciągu wymagają tego samego środka: i sprawa szkół ludowych, i ważna niesłychanie kwestya żeńskich inspektorów fabrycznych, przypuszczenie kobiety do praw w gminie i municypalności, a nakoniec organizacya robotnic fabrycznych. Postulaty tych pań mówią o osobach zaufania, wybieralnych w każdym kraju, któreby wszystkie tego rodzaju zagadnienia zgodnie z dążeniami dobrze zrozumianego kobiecego postępu rozstrzygać miały w przyszłości.

Cóżby na to odpowiedzieć? Chyba to jedno, że kto żąda rzeczy niemożebnych, ten się pożegnać musi z nadzieją przeprowadzenia możebnych i koniecznych.

Dalej że kwestya wydaje nam się postawiona nie szczerze, a przytem nie dosyć zręcznie, aby zasłonić mogła to, co jest niedopowiedziane, a właściwie mówiąc rozmyślnie osłonione. Kwestyę kobiecą rozstrzygnie sobie każda poszczególna społeczność w duchu właściwości swoich, zgodnie ze stopniem swojej kultury — swoich jednem słowem potrzeb, i żadna z tych społeczności solidaryzować się co do tego z drugą — chociażby ościenną, nie potrzebuje, bo tutaj jak we wszystkich sprawach ludzkich: każdy dla siebie i każdy za siebie. Można się od sąsiadów bliższych i dalszych uczyć, należy się nawet uczyć, ale ani naśladować i kopiować cudzych urządzeń i instytucyj nikt nie potrzebuje, a tem mniej solidaryzować i wiązać sobie rąk cudzymi względami nie zechce, bo każdy ma własne względy, własne interesa i własne widoki. Tak jak nie ma uniwersalnych monarchij, jak nie ma jednej kosmopolitycznej społeczności męzkiej, tak samo nie może być międzynarodowego zrzeszenia kobiecego, któreby poprzez granice i kordony podawało sobie ręce dla szerzenia agitacyj społecznych, często interesowi zbiorowemu wprost przeciwnych.

Powiedzieliśmy, że kwestya postawioną była nieszczerze i obstajemy przy swojem, bo jaka na punkcie naprzykład wstrzemięźliwości może być solidarność między Włochami, którzy są znani, jako naród najwstrzemięźliwszy, a Belgijczykami, głośnymi w świecie z pijaństwa?

Czy pod względem reformy szkolnej łączyć się mogą albo potrzebują takie chociażby Prusy z pierwszą lepszą społecznością analfabetów, która stawia pierwsze kroki tam, gdzie oni już do olbrzymich doszli rezultatów?

Wogóle owo marzone zrównanie w prawach, jeśli zdążać ma ku koniecznemu rozwiązaniu swemu w duchu pożądanym przez kobietę dzisiejszą, nie może się przecież dopełnić bez związku z resztą warunków bytu danej społeczności, ale musi przeciwnie wywiązać się z tego bytu organicznie, znaleźć odpowiednie przygotowanie w umysłach, obyczajach i instytucyach. Pożądać czegoś w Niemczech dzisiaj z tej racyi, że się to wczoraj stało na Islandyi, jest w każdym razie dowodem niedojrzałości i oznaką nieliczenia się z żadnymi względami. Przenoszenie przytem kwestyi na śliski grunt nienawiści stanowych nie harmonizowało bynajmniej z nastrojem większości obradujących. Kobiety nie zgromadziły się w Berlinie po to, aby zawotować walkę z kapitalizmem, więc nic dziw, że panie: Klara Zetkin i Lili Braun, trafiły na opozycyą zdeterminowaną. Były rzeczywiście ze strony kilku kobiet głośnych ze swoich skrajnych przekonań energiczne napaści na ducha panującego w zgromadzeniu, były wycieczki przeciw burżuazyi całej, przeciw pozostawieniu rzekomemu na stronie kobiety z ludu, ale znalazło stronnictwo rozumnego postępu swoje argumenty, które zaważyć musiały, bo się opierały na faktach. To wysuwanie zresztą naprzód owej kobiety z ludu, to taktyka znana i zużyta; panie radykalistki napadały na te działaczki, które o wydziedziczonej zapominają, a z drugiej strony pamięć o jej potrzebach i przejmowanie się niemi ze strony klas zamożnych, jak to ma miejsce w Anglii, raczyły nazwać modą albo sportem.

Jednem słowem zawsze jedna i ta sama metoda zapatrywania, polegająca na podporządkowaniu interesów jednych warstw interesom drugich.

Ale ostatecznie była to robota takiej mniejszości, że oprócz chwilowego zakłócenia obrad nastrojem burzliwym, innych następstw i śladów ten epizod po sobie nie zostawił.

W zastępstwie delegowanej angielskiej mrs. Georginy Hill, czytał jej ojciec rozprawę o pielęgnowaniu chorych w Anglii. Ten sam temat traktowała pani Jeanetta Schwerin, o ile opieka nad chorymi i sierotami, dotyczyła Niemiec.

Pani Eliza Ichenhauser doktór, w zastępstwie m-ss Heleny Blackburn z Londynu mówiła o obecnym stanie prawa głosowania kobiecego w Anglii, poczem nastąpił szereg cały referatów tej samej treści, opracowanych przez delegowane z Norwegii, Danii, Hollandyi, Belgii, Ameryki, Austryi i innych państw i krajów, w których ta sprawa w mniejszym lub większym stopniu rozwoju się znajduje. Zakończyła panna Anita Augspurg długim traktatem „O prawach kobiety,” w którym wychodzi z założenia, że nie ma co szukać domniemanego rozwiązania kwestyi, w tem co widzimy dokoła siebie w starej naszej Europie, że wskazówkę tego co przyniesie przyszłość, znajdujemy tylko w Świecie Nowym, a mianowicie w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w koloniach Australii.

Sprawozdania mówią jednozgodnie, że głosy te słuchane były z należytem skupieniem ducha. Chętnie temu wierzymy, bo kobieta która weszła raz w tę sferę myśli, uporczywie czepia się przypuszczenia, że jej udział w sprawach publicznych musiałby się koniecznie na nich odbić dodatnio. Czy dojdzie do tego — czy się zawiedzie; czy w razie gdyby doszła, czekają tam na nią tryumfy, albo rozczarowania smutne — jakie następstwa dla ludzkości pociągnąć mogłaby taka dezercya kobiety z pola jej obowiązków przyrodzonych — na te wszystkie pytania przyszłość tylko jedna odpowiedzieć może. My notujemy tylko w tem miejscu symptomata chwili i to symptomata, o których nam wolno sądzić ze sprawozdań obcych a dalekich. Od wielkiego ogniska tego procesu żyjemy zdala, a jeśli idzie o to, czy powinniśmy cieszyć się z tego, czy ubolewać nad tem, to także materya do dyskussyi.

Zakończyły kongres berliński rozprawy na temat udziału kobiety współczesnej w sztuce, naukach i literaturze, a wreszcie znalazło się słowo i dla sprawy powszechnego pokoju. Wymienimy koleją kilka wybitniejszych przemówień w tym zakresie. I tak: panna Ella Mensch z Darmstadtu doktór filozofii, czytała rozprawę swoją zatytułowaną: „Czego spodziewać się może kobieta od dzisiejszej literatury.” Zdaniem mówczyni, literatura współczesna jest literaturą męzką, a co do charakterystyki duszy kobiecej, to pierwszy dopiero Goethe dał światu niemieckiemu kreacye niewieście z krwi i ciała. Arcytypem niewiasty germańskiej przysłużył się Wagner, a tym typem jest Brunhilda. Z poetów wymienia Grillparzera, który także rozumiał kobietę i brał postacie z życia. Nie tłómaczy doktór Ella Mensch co stało na preszkodzie kobiecie niemieckiej do zapełnienia tych braków w literaturze, bo niby taki brak twórczości niedostatkiem praw politycznych i społecznych objaśnić się nie daje. Są to szczegóły, które jednak pomijane być nie powinny milczeniem. Literatura męzka — bardzo dobrze. Ale dlaczego nie ma kobiecej?

Miss Kirkbride delegowana Civil-clubu z Filadelfii, przynosi kongresowi pozdrowienie kobiet amerykańskich, a delegowana z Węgier panna Helena Radway dzieli się ze słuchaczkami swojemi bardzo pouczającemi wiadomościami dotyczącemi położenia materyalnego kobiet nauczycielek na Węgrzech. Położenie to charakteryzuje sprawozdawczyni jako awantażowne.

Pani Gutbier literatka z Berlina mówi o kobiecie niemieckiej w poezyi i sztukach pięknych.

Pani Melitz delegowana stowarzyszenia propagandy powszechnego pokoju, wyprowadza genezę ruchu umysłów w tym kierunku, który wystawia jako pełen błogosławieństw dla przyszłości, świadomy siebie i niewzruszony w pracy. Pani Morgenstern przemawia w tym samym duchu, ale wdaje się w szczegóły, które zdaniem naszem sprawy nie poprawiają bynajmniej. Zawsze to tutaj lepiej trzymać się teoryi, jak nakreślać środki i sposoby wcielania idei w życie. Szanowna miłośniczka pokoju utrzymuje, że aby przyszli obywatele pracowitej a potężnej Germanii, której budowę rozpoczęli kawalerowie mieczowi, a skończył rok 1871, nabrali należytego wstrętu do wojny, trzeba ich do tego wychować od kolebki samej. Niemieckie dziecko przyszłości nie będzie się już bawiło szabelką i armatką. Znacie zresztą czytelniczki tę tiradę pojednawczą, bośmy wam o niej już mówili. Wnukowie wojowniczego Arminiusza radziby teraz spocząć i suggerują tę myśl wszystkim bez względu czy ona dla reszty ludzkości może być równie pożyteczną, jak byłaby dla niemieckiego Michela i jego Miny, gdyby istotnie weszła w życie. Kobieta niemiecka w serdecznej naiwności swojej opowiada o tych wczoraj zrodzonych aspiracyach, nie domyślając się, jak widać, do jakiego stopnia ta propaganda jest śmieszną, gdy przychodzi z Berlina. Chcemy wierzyć że szlachetne Niemki robią to w dobrej wierze — niemniej wysoce jest zawsze komiczną sytuacya w której, jak powiadają Francuzi „le diable se fait ermite.”

Na tem zakończył kongres swoje obrady. Pożegnań, uczt i toastów powtarzać wam nie będziemy, bo to wszędzie ma jeden i ten sam charakter mniejwięcej—tego samego jest znaczenia. Przyobiecaliśmy czytelniczkom sprawozdanie możliwie, jak na ramy naszego pisma, szczegółowe,

więc wyjęliśmy to co stanowiło istotną treść obrad.

Przyznacie chyba, czytelniczki, że z wyjątkiem kilku epizodów, które stanowią dyssonans w ogólnym nastroju, kongres zaleca szacunkowi świata cywilizowanego kobietę niemiecką, zwłaszcza gdybyśmy jej działalność, jej względne wyrobienie, a nadewszystko rozwagę niezmiernej większości porównać chcieli, do zapalczywego gadulstwa i nietaktu, jaki panował na kongresie feministek w Paryżu. Ogromna różnica na korzyść Niemek — wątpliwości nie podlega.

A. S.

Kalejdoskop Muzyczny.

II.

Libretta i libreciści.

(Ciąg dalszy).

— Poeta i kompozytor winni żyć w ścisłym związku duchowym—mawiał Offenbach.

— Przez czas pisania każdej nowej opery uważam poetę za żonę swoją—dodawał. Czuję się nieszczęśliwym, nie widząc go któregokolwiek dnia; muszę pomówić z nim i zobaczyć go codzień, jakkolwiek nie przynosi mi nawet nic nowego w tece..

Nie ulega wątpliwości, iż taka gorliwa i ustawiczna wymiana myśli między poetą a kompozytorem nadaje wspólnej ich pracy cechę wielkiego ożywienia, jedności i racjonalności, której pozazdrościć może najkrótszej francuzkiej operecie niejedna ciężka i długa opera niemiecka.

Rolę włoskiego poety Metastasia, głównego twórcy tekstów operowych w XVIII w. odgrywał w ciągu pierwszej połowy naszego wieku Eugeniusz Scribe, zmarły kilkanaście lat temu. Hanslick pisze o nim: Był on zupełnie niemuzykalny; nie grał na żadnym instrumencie i nie wziął w życiu swojem napewno ani jednej lekcyi śpiewu; z tem wszystkiem jednak zasługuje na miano wielkiego wynalazcy muzycznego, on pierwszy bowiem miał ten nerw dramatyczny, otwierający tak szerokie pole dla kombinacyi orkiestralno-chóralnych. Do typowo dramatycznych scen operowych należą: scena poświęcenia broni w „Hugonotach," licytacya w „Białej Damie," i scena kościelna w „Proroku."

Nic bardziej charakterystycznego nad współudział znanego dramaturga w pracach kompozytorskich. Czerpiąc u muzyków natchnienie, udzielał im go również od siebie. Zadziwiająca różnorodność operowych jego tekstów wynika z różnorodności kompozytorów, dla których pisał. Auberowski Scribe innym jest od Meyerbeerowskiego, Meyerbeerowski zaś nie przypomina niczem współpracownika Halévy'ego. Indywidualność każdego z tych mistrzów oddziaływała tak silnie na jego talent, że budziła w nim za każdym razem odrębne rodzaje natchnień. Tworząc teksty do oper, utożsamiał się poniekąd z kompozytorami. I on mylił się nieraz bezwątpienia. Tak na przykład komiczna opera p. t. „Śnieg" z rąk Boieldieu dopiero dostała się Auberowi; podobne wypadki miewał jednak rzadko, licząc się niezmiernie z osobistością kompozytora dla którego układał teksty. Najchętniej pisał dla Donizetti'ego. Nazywał go najmilszym z muzycznych swych współpracowników, zawsze zadowolonym, stosującym się do wszystkiego i nie żądającym żadnych nadzwyczajności. Meyerbeera zaś, przeciwnie, trudno było zaspokoić czemkolwiek; zawsze wymagał czegoś takiego, co trudno było zamieścić w tekście. Z tem wszystkiem wiecznie czynna, ruchliwa fantazya muzyka, ustawiczne jego dążenie do wzniosłości i potęgi, gonitwa za szeregiem nieprawdopodobieństw podniecały twórczość Scribego. Nadzwyczajna giętkość umysłu poety pozwalała mu być tem, czem mu być kazano.

— Gdy Meyerbeer wchodzi do mnie—mawiał Scribe—jestem przygotowany na wszystko. Przewiduję nawet że mi powie: „Ah, jakiż piękny byłby duet żaby z różą."

Każde libretto Meyerbeer przerabiał na swój sposób.

— Bardzo piękny akt pierwszy dałeś mi pan w Afrykance—rzekł na przykład kiedyś do Scribego.—Wolałbym tylko zamiast turnieju — koncylium.

I Scribe urządził mu koncyljum. Meyerbeer nie lubił ładnych wierszy; zdawało mu się, iż zajmują one nieprawnie miejsce przynależne muzyce. Tekst do aryi: „Łaski, łaski!"—w Robercie Dyable ułożony był pierwotnie przez Delavigne'a w barwnej, poetycznej formie. W dwa dni po otrzymaniu go M. wpadł zrozpaczony do Scribego.

— Nie, ja nie mogę dorobić do tego muzyki: przecież ten wiersz sam, to już jest najczystsza w świecie melodya. Musisz mi pan to przerobić koniecznie.

— Powiedz pan raczej, że mam to wyrzucić zupełnie — odparł Scribe z uśmiechem i napisał tekst, który pozostał w aryi powyższej do dziś dnia.

— To mi się podoba—mruknął Meyerbeer. — To są wiersze takie, jakie lubię.

Scribe uważał się niemal za niewolnika kompozytora. Prawo wyłącznej własności rozciągał tylko na dramatyczną swą twórczość. Pod względem zmian wierszowych chętnie ulegał nietylko woli kompozytorów, lecz nawet i artystów. Basista Obin przeinaczył raz dobrowolnie tekst jednej ze swoich aryj w „Nieszporach sycylijskich," czem wywołał niesłychany efekt. Przerażony śmiałym swym czynem, pobiegł natychmiast po próbie do Scribego, prosząc go o przebaczenie, iż poważył się wiersze poety zamienić na zwykłą prozę, i prosił go o ułożenie wierszem myśli, jaką wyśpiewał w aryi.

— O, nie — odparł Scribe, — uchowaj mię Boże, od tego. Głos pański brzmi najlepiej w słowach, jakie sam obmyśliłeś. Śpiewaj pan tak, jak śpiewałeś; do druku dopiero ułożę prozę twoją w rymy.

Scribe pod tym względem trzymał się całkowicie zapatrywań Boïeldieu, który dowodził, iż tylko muzyk może wiedzieć, o ile tekst nadaje się do melodyj, lub nie. Któregoś wieczora na wsi u siebie objaśnił to przyjaciołom swoim w oryginalny sposób. Otworzywszy okno na ogród, wskazując niebo, zawołał:

— Patrzcie, jaki piękny księżyc! Gdybym zaczął deklamować w tej chwili: „O, boski, spłyń ku mnie, połóż dłoń swą na sercu mojem!" wydałoby się to wam niesłychanie głupie i śmieszne, wszak prawda? A więc tak, jest to głupie, ale bardzo, bardzo muzykalne!

Scribe przezczas swego życia napisał 28 poważnych oper, 95 oper komicznych, 244 wodewilów i 8 baletów. Z tego wszystkie duże opery, większość komicznych oper i wodewilów stworzył sam wyłącznie. Do opracowywania i wykończania reszty pozostałych sztuk miał u siebie całe biuro, złożone ze 150 współpracowników, z tych 75 literatów, 55 zaś muzyków. Kłamstwem jednak i nikczemnością, jadem potwarzy napiętnowane jest twierdzenie, jakoby Scribe podpisywał nazwisko swoje na utworach, do których nigdy ręki nie przykładał. Wszyscy towarzysze i współpracownicy jego zapewniają, iż nie puszczał w świat najmniejszej rzeczy, nie przejrzawszy jej dokładnie, i nie obrobiwszy do najdrobniejszego szczegółu.

Jeden z kolegów jego nawet zwykł był mawiać z godną podziwu skromnością:

— W żadnej ze sztuk, w których niby dopomagałem Scribemu, nie pozostał w końcu ani jeden wyraz mój własny.

Przeglądając obecny repertuar operowy scen europejskich, co spotykamy najczęściej? „Hugonotów," „Roberta dyabła," „Proroka," „Afrykankę," „Bal Maskowy," „Żydówkę," „Białą Damę," „Fra Diavolo" i t. p. Do wszystkich tych oper dorobił libretta Scribe. To jedno wystarcza dla zaznaczenia wielkiej roli, jaką odegrał w świecie muzykalnym zgasły przed trzydziestu laty autor francuzki.

Cecylia Walewska.

(*Dokończenie nastąpi*).

Zmarłe przedwcześnie.

Maeterlinck mówi o dzieciach, które mają umrzeć przedwcześnie, że są łagodne, poważne, ciche, jakby zawczasu świadome przeznaczenia swego. Dziecię takie unika hałaśliwych zabaw, nie łączy się z towarzyszami, staje na uboczu, zadumane o rzeczach, które jemu tylko są wiadome. Z dziwną nieśmiałością obchodzą się z niem inne dzieci, jakby nie z równem sobie, jakby wiedziały i one, że ta istota zamknięta w sobie, nad wiek dojrzała, o rozumnych, głębokich spojrzeniach starca, to tajemniczy przechodzień, któremu przeznaczono krótką tylko chwilę zabawić na tej ziemi, i odejść w światy inne. Obojętne na bóle i radości życia, dziecię takie idzie przed siebie, wpatrzone w przyszłość, która dla niego nie jest przyszłością ziemską, dochodzi do lat dwudziestu, czasem dalej trochę i... płomyk gaśnie. Tajemniczy, nieznany przechodzień znikł nam z oczu.

Każdy, kto obrazom życia przypatruje się z uwagą, przyzna słuszność poecie, wielkiemu znawcy tajemnic duszy; niejeden odnajdzie we wspomnieniach swoich postać takiego cichego dziecka, uśmiechającego się smutnym, zagadkowym uśmiechem, i gasnącego po kilku lub kilkunastu latach życia. Ale nie wszyscy mający umrzeć młodo, podobni są do nakreślonego przez Maeterlincka wizerunku. Bywają przeciwnie istoty chciwe życia, ramiona młode wyciągające po wszystkie skarby jego, z pośpiechem gorączkowym dążące przed siebie, jakby wiedziały, że

im mniej zostawiono czasu, niż innym. Tym wszystkiego za mało. Każdego kwiatu pragną wchłonąć woń, każdej czary dotknąć ustami, na każdy szczyt się wedrzeć, do każdej pracy przyłożyć ramię. Pragnienia ich są żywsze, odczucie silniejsze, energia pełniejsza, niż u innych. Patrzącemu na nie, nie przychodzi nigdy myśl, że to wszystko skończy się niedługo. A im samym? Może czasem w chwili wesołości gorączkowej, w chwili upojenia radością, nadzieją, zachwytem przesunie się widmo śmierci przed oczami, i do świadomości zakołata przeznaczenie. Może dlatego mówią niekiedy: umrę młodo. I spieszą, nie chcą czekać na nic, nie mogą. Ze wszystkich stron garną ku sobie materyał wrażeń, gorączkowo snując z niego barwną nić żywota. Nagle... nić ta pęka, wszystko skończone. Smętny zazwyczaj poemat życia przechodzi w tragedyę. Bo czyż może nie wydać się tragicznym zgon istoty młodej, wrzącej życiem, miłością, nadzieją, wyrywającej się do świata, czy może nie wydać się krzywdą niezmierną, gwałtem jakimś przeciw prawom natury. Śmierć tamtych cichych, o których mówi poeta, nie zasmuca prawie. Oni nie dla ziemi byli stworzeni, nie związani z nią żadnymi węzłami; odeszli, dokąd wzywały ich niezbadane wyroki. Ale być młodym, kochać życie, kochać ziemię, jej blaski i mgły, i odchodzić, dzień ziemski żegnać o świtaniu, to tragedya.

Tragizm przedwczesnego zgonu tem gwałtowniej uderza myśl naszą, tem głębiej wstrząsa sercem, im szerszym był zakres dążeń, aspiracyj, marzeń, rozstającej się z życiem jednostki. Szczególna melancholia na przykład owiewa postać zmarłego młodo poety. On światu niósł pieśń, i śnił o promienistej w zamian na czoło aureoli, śnił, że będzie duchów wodzem i panem.

Ledwo zadźwięczała, ucichła wnet piosenka, rozwiały się marzenia sławy. Dla tych, co mu byli blizcy, co żyli nadziejami jego, pozostał ból wspomnienia.

Takie postaci dwie nasuwają się myśli mojej, obydwie kobiety. Pierwsza zwała się za życia Bronisława Wieliczkówna, druga Marya Paprocka. Na dochód Towarzystwa Szkoły Ludowej wydano właśnie w Krakowie poezye pierwszej. Mała książeczka, nosząca tytuł: „Z wiosny życia," jest pamiątką po dwudziestodwuletniej marzycielce, która zamknęła w niej szlachetne sny młodości, pierwsze porywy duszy, pierwsze i ostatnie na tej ziemi rozczarowania i smutki swoje.

Oto „Za szczęściem" goni duch jej młody. Wpół dziecinny jeszcze umysł marzy, że „znajdzie skrzydła z pióry białemi i uleci w dal, do góry, z tej ziemi." Tam na wyżynach znajdzie iskrę szczęścia, pochwyci, zdobędzie ją dla ludzkości. I:

„Znikną wtedy troski, znoje
Najkrwawsze,
A ja zrzucę skrzydeł dwoje
Na zawsze."

Zaprawdę, by takie snuć marzenia, trzeba być bardzo młodą.

Późniejsze cokolwiek poezye Wieliczkówny nie dźwięczą już tą nutą nadziei. Trwoga jakaś ogarnia poetkę wobec zamętu haseł, dążeń, zapędów myśli ludzkiej, krzyków rozpaczy i zniechęcenia, które słyszy dokoła. Na usta jej wybiega modlitwa: „Nie daj mi w zwątpień utonąć ciemności!" i druga jeszcze prośba:

„O niech nie błądzę bez celu po ziemi,
Ciemnych zagadnień natłokiem nękana,
O niech nie przejdę pomiędzy bliźnimi
Wszystkim daleka, bo wszystkim nieznana!"

Pragnienie sławy ma tu szczególne zabarwienie. Dla tego dziecka-poetki być sławną — to być blizką sercom ludzi. Nie panować chce, lecz być kochaną. Zaznaczam to, bo zdaje mi się, że kiedyś, po latach, gdy znajomość duszy kobiecej się wzmoże, gdy ujawni ona światu niejedną z niezbadanych dotąd tajemnic swoich, będzie się to nazywało: pragnąć sławy po kobiecemu. Mężczyzna dowie się wtedy, że nie pychą, jak u niego jest pragnienie sławy u kobiety, lecz pragnieniem miłości w całem najpełniejszem i najszczytniejszem znaczeniu słowa tego.

Modlitwy młodej marzycielki nie zostały wysłuchane. W wierszu „Odchodzę już" pisanym na krótko przed śmiercią, dźwięczy i żal niezmierny za ową miłością-sławą, której zdobyć nie miała czasu, i nuta dziwnego, przejmującego zwątpienia. Jest to wśród urywków lirycznych, które znam, jeden z najsmutniejszych:

„Odchodzę już, och w ciszę wieczną,
Bezmierną pustkę, smutną dal!
Odchodzę już —
Komuż mnie, komuż będzie żal?
Któż mię pożegna łzą serdeczną.
Ach któż?
O nikt —
Chyba jodłowy, czarny bór,
Ten czarny bór
W noc bez gwiaździstą, chłodną, ciemną
Zawiedzie z wichrem wspólny chór,
Zaszumi z wichrem pieśń chóralną
I wyśle za mną liści szum,
Jak dziką zwrotkę pożegnalną,
Jak głuchych westchnień tłum!
Chyba zaskrzypi krzyż ten czarny
W szary jesienny świt,
I da mi w drogę jęk cmentarny:
Nadgniłych ramion zgrzyt.
O nikt —
Nikt mię nie będzie żegnał łzami
Chyba w pochmurny, smutny zmierzch
Listopadowy zmierzch,
Wicher zimnymi podmuchami,
Olch konających schyli wierzch,
Wtedy ostatnie zżółkłe liście,
Postrąca wiatru wiew,
Wtedy posypią się rzęsiście,
Jak łzy rozpaczne drzew.
O taką tylko łzę serdeczną,
Ten drzew ginących żal,
Wezmę, odchodząc w ciszę wieczną,
I w chłodną, mroczną dal.

Są tu iskry talentu, które zgasiła przedwczesnie śmierć niszczycielka, jest zwłaszcza dużo głębokiego odczucia przyrody. W tych słowach słychać płacz.

Na tydzień przed zgonem pisana „Modlitwa" świadczy, że duch dziewczęcia dostąpił pewnego ukojenia, pozwala przypuszczać, że może nie było jej tak straszno odchodzić „w niezmierną pustkę, smutną dal," jak z powyższego fragmentu wnosićby można. Oto wyjątki z niej:

„Na ustach zwolna modlitwa kona,
Dusza się modli tonami pieśni,
I leci w jedność z pieśnią spleciona,
Ku niebu, z murów kościelnych cieśni.

W górę do Boga, gnana tęsknotą,
Ku blaskom słońca kieruje skrzydła,
I płynie drogą promieni złotą,
Lekko i cicho, jak dym kadzidła.

O Niepojęty, Wielki, o Boże!
U stóp Twych zawisł duch w Niebo wzięty,
Otom przed Tobą, w prochu w pokorze,
Tak blizko Ciebie, o Święty!"

Na tem zakończmy wspomnienie o niej. Cień jej blady przesunął się pomiędzy nami i melancholii czar rzucił nam na dusze.

H. C.

(*Dokończenie nastąpi*)

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

— Walek trzymaj się jeszcze chwilę, jeszcze trochę. Nie bój się! — wołał stary, dodając tonącemu otuchy.

Teraz obejrzeli się wszyscy, i wszyscy zrozumieli, o co chodzi.

Z przyległego dworskiego chmielnika zdążał Józiek wlokąc za sobą tykę chmielową; parł się ostatkiem sił, przeskakiwał rowy i nie czekając ani ojcowskiego przyzwolenia, ani pomocy czyjejkolwiek rzucił się wprost na staw.

Tylko, że tym razem dziecko przedziwnym instynktem wychowańca przyrody nie dopuściło się błędu, który popełnili wszyscy. Zamiast stąpać nogami po kruchym lodzie, położył się Józiek na jego powierzchni i ciągnąc za sobą tykę czołgał się wprost ku tonącemu.

Wszystkim głos zamarł w piersi, bo głowa Walka już się raz zanurzyła pod wodę. Najwyraźniej tracił on siły i przytomność i wiarę w ocalenie.

— Trzymaj się! — wołali od brzegu jedni.

— A to ci sobaka zmyślny — wykrzykiwali najniechętniejsi.

— Dowlecze się! Nie dowlecze! Na wodę się dostaje! Będzie z nim źle! Zamiast jednego będzie dwóch! Kajetanie, wołajcie niech się wraca!

Spojrzano na starego Góreckiego. Bledszy był od śniegu, na którym stał, ale ani wołał, ani ostrzegał, tylko za dzieckiem krzyż święty znaczył, i patrzył w niebo, jak gdyby ztamtąd jedynie ratunku wyglądał. Drżały pod nim nogi, tak, że się na nich trzymał z trudnością.

Za kilka minut znaleźli się na brzegu obaj chłopcy, obadwaj jednako zziębli i zmoczeni, ale w tem do siebie niepodobni, że Józiek choć dzwonił zębami, miał minę śmiałą i wyzywającą, a tamten ogłupiały i spłoszony ściskał jeszcze teraz kurczowo w ręku tykę chmielową, którą mu z trudnością wydobyć zdołano.

Topielca niedoszłego odprowadzała do domu matka, nie szczędząc mu po drodze admonicyj słownych i czynnych; Józkowi chciało się jeszcze pobaraszkować, a miał do tego sposobność dobrą, bo Łukasz, rosły i barczysty dworski parobek, który się chciał przysłużyć ratunkiem, a którego zaledwie wydobyto z pod lodu, stał teraz na boku, dygocąc z zimna, co istotnie śmiesznie odbijało od jego potężnej statury.

— A co Łukasie, najedliście się strachu? — pytał drwiąco mały napastnik.

Gromada uspokojona już teraz, a więc gotowa do wesołości przyjęła żart jego wybuchem śmiechu.

— Śmiej się głupi, śmiej, masz z czego! Ważysz sam za szczura dorosłego, to nie dziwota, żeś się nie załamał.

— Ha to i cóż! — odparł przekornie malec.— Jak wół nie poradzi, to trzeba czasem do szczura iść po radę.

— Nowy wybuch wesołości przekonał chłopaka, że trafił w gust ogólny, ale znalazła się i niechęć, bo oto jeden z gospodarzy, który z rodziną Góreckich w starych zostawał zatargach, skorzystał z okazyi, żeby osłabić przychylne usposobienie dla śmiałego malca. Był to stary Piotr, przezwany jąkałą, który z tą wadą wymowy łączył niedołęztwo i nieporadność zwykłą u wszystkich prawie takich upośledzonych.

— Masz ty swoje zmysła — mówił jąkała zacinając się, — o masz, ale trza powiedzieć, że ci gęby nie pożyczać także.

— Chwała Bogu i za to, odciął się Józiek; zawdy to lepiej takiemu na świecie jak drugiemu, co to u niego i zmysła kiepskie, a gęba jeszcze gorsza.

— Niechże go, jaki ci szelma cięty!

— A to go zajechał!

— Powiedzcie mu tam Pietrze jeszcze, tak jak to wy potraficie — zachęcali złośliwi.

Wogóle podobała się determinacya chłopca, bawiono się jego przytomnością i dowcipem, ale byli i tacy, którzy kręcąc głową robili uwagę, że taki dzieciak powinien znać szacunek dla starszych, a nie dworować sobie z siwej głowy, jakoby z równego sobie.

Nie ten jeden raz zasłużył sobie mały Górecki na zarzut podobny.

Razu pewnego do Józka, który sobie wygrywał na skrzypce, pilnując koni pod lasem, dolaciały z głębi boru odgłosy, nawołujące go po imieniu:

— Józi...ek a by...waj tu byw...aj!

Głosy były jakieś przerażone, więc nie mieszkając ukrył chłopiec swoje skrzypki w dziupli wierzbowej i popędził w stronę, z której go przyzywano. Wyraźnie się tam coś stać musiało, a Józiek od jakiegoś już czasu uchodził między rówiennikami za męża do rady jedynego. Jakoż zaszedł istotnie wypadek, bo już na pół drogi spotkał dwóch chłopców, którzy prowadząc go dalej przyspieszonym biegiem, taką mieli z nim rozmowę:

— Bież duchem Józiek, bo się stary Grzegorz duszą.

— Zwaryowaliście? zkąd się Grzegorzowi dusić.

— Wyraźnie się duszą, bo cościk niewyraźnie mamroczą już tylko, a wołają ratunku gwałtem.

— I gdzie oni się duszą?

— A tam hen na barci?

— A bezco?

— Nie wiemy. Cościk im się widać zrobiło. Zrazu wołali głośniej, a teraz ledwo zipią.

W parę minut byli na miejscu. Istotnie, Grzegorz stary bartnik podbierał pszczoły, ukończył już nawet swoją czynność, a teraz w powrocie zatrzymał się na połowie drogi ku ziemi, i nie mógł się ruszyć w żaden sposób. Starzec rzeczywiście wołał o ratunek, ale o niesieniu czynnej pomocy nikt nie zamarzył nawet, bo sosna gładka była jak słup drogowy, a gruba tak, że o objęciu jej rękami i nogami nie mógł pomyśleć żaden z dzieciaków. Podobniejsze też było to zadanie wogóle dla wiewiórki, jak dla człowieka. Józiek przybiegł w chwili, kiedy starowina był już w ostatnim stopniu wyczerpania sił.

W mgnieniu oka wdrapał się ze zwinnością kota, jednym rzutem oka sprawdził co się stało, odczepił sznur, który się zahaczył na sęku, i ześlizgnął się sam szybciej jeszcze, aby starcowi zejście na ziemię ułatwić.

Ale za oddaną przysługę kazał sobie zapłacić wedle własnego widzenia rzeczy. Zaledwie Grzegorz oprzytomniał na tyle, żeby się spojrzeć w twarz temu, który go uratował, a słowa podzięki, które miał prawdopodobnie na ustach zmieniły mu się nagle na gniewne oburzenie.

— A ty psia duszo, czemu tak zęby szczerzysz?

Chłopak nie odpowiadał, tylko rękawem grubej koszuli ocierał sobie łzy, które mu śmiech z oczu wyciskał.

— Powiesz ty, czy nie powiesz, co do ciebie przystąpiło?

— Kiedybyście wy, Grzegorzu obaczyli kogo takiego, coby mu tak niemądrze z oczu patrzało, jak wam na tej sośnie, tobyście i wy nie wytrzymali chocieście wiekowi.

— Niemądrze z oczu patrzało — powtarzał stary zrzędząc, — widzisz go! jaki mądrala. A wiesz ty baranie jeden, że kto starego nie uszanuje, to starości nie doczeka. Patrzajcie no moi ludzie, jakie to teraz czasy przyszły! Ażebyś ty był kark skręcił, nimeś się tam dostał— wołał stary w uniesieniu, widząc, że malec zamiast się stropić i uznać winnym, śmieje się coraz zawzięciej, a i reszta dziatwy naśladuje go ośmielona złym przykładem.

— Żeby oni was nie byli zobaczyli, a ja kark skręcił — zaczął teraz obrażony Józiek, — toby was tam na tej sośnie dobrze były do jutra napoczęły wrony. To takie u was „Bóg zapłać.” Dobrze o tem wiedzieć na drugi raz. Wleźcież jutro na drugą barć i zacznijcie wołać gwałtu, to wam kusy z wilczego bagna przyjdzie z ratunkiem, bo pewnikiem nie ja.

— Poczekajże ty obwiesiu — wołał stary, — wypomnę ja ci to, jak cię będą do prochowni prowadzili. A to Boga w sercu kanalia nie ma, żeby tak człowieka sponiewierać.

Honor starego bartnika poszwankował rzeczywiście w tej nieudanej wyprawie, która jutro miała się stać przedmiotem żartów całej wsi, i to go zrobiło tak zawziętym i głuchym na głos sprawiedliwości. Więc zwyczajem słabych postanowił za upokorzenie zapłacić złośliwemu malcowi w inny sposób.

Niespodzianie rozeszła się między kumoszkami Poręby głucha wieść, że mały Górecki dyabłu swoją dziecinną duszę zaprzedał. Z pomocą Grzegorzowej dowiedziano się o Józku tak szczególnych rzeczy, że co było kobiet starszych we wsi, wszystkie żegnały się teraz na widok chłopca krzyżem świętym, schodziły z drogi i spluwały wymawiając zaklęcia ochronne, które za najskuteczniejsze uznawano przeciwko nieprzyjacielowi rodzaju ludzkiego.

Dopiero teraz zrozumiano, zkąd takie przedwczesne rozumy i takie na wszystko sposoby odnajdywały się w głowie dziecka kilkonastoletniego wtenczas, kiedy starzy nieraz zupełnie byli bezradni.

— A że to moja kumo — mówiły do Grzegorzowej kobiety, — że to zły ma przystep do takiego dziecka.

— Ba! żeby to ojciec był lepszy, to nie mówię, ale co to wy nie wiecie, kto ojciec? Albo by to gromadzie było tak jak jest teraz, żeby nie Kajetan? A te jego ciągłe łażenie do dwora, to nic? Poczekajcie, dobrze on na tem wyjdzie. Nie byłabym ja chyba najstarsza kobieta we wsi, żebym ja nie wiedziała, co to wszystko znaczy. Zobaczycie.

— No niechby tam już stary — protestowała chrzestna matka Józefka, której się jakoś w żaden sposób nie chciało zostawać w duchowem pokrewieństwie z takim, co dyabłu duszę zaprzedał, — niechby tam już stary, ale zkąd ten? to mi się jakoś nie widzi. Bo to wy Grzegorzowa tak mówicie może z gniewu jakiego albo co, ale żebyście tak powiedzieli co pewnego, to wy nie mówicie.

— Chcecie pewnego, to ja wam powiem. Tylko jak macie słuchać, to się pierwej przeżegnajcie krzyżem świętym, żeby i was się bieda jaka nie czepiła, bo co ja widziałam wczoraj rano, to nie każde oczy oglądały, i żebym nie była duchem odmówiła trzy razy „Pod Twoją obronę,” to jeszcze nie wiadomo, czybym ja to wszystko dzisiaj wam tu opowiadała.

— Bójcie wy się Boga Grzegorzowo, co wy mówicie.

— Co ja mówię? Ja wiem, co mówię. Oto widzicie moi ludzie, to było tak: Wyszłam ja sobie z domu na jagody, a wyszłam przededniem, bo co to człowiek stary? To i nożyska słuchać nie chcą i dzień się też jakoś zaczynał tak dziwnie, że człowiekowi nie swojo było zupełnie. Ja odrazu wiedziałam, że mi się coś przytrafi. Idę sobie idę; odmówiłam pacierze, zaczynam swoją koronkę, nie chwalący się, skończyłam koronkę i miałam znowu zacząć pacierze, aż tu ja patrzę i las niedaleko. Tak, jak to wiecie: kiedy człowiek o złem nie myśli, to mu i czas zejdzie prędzej, jak drugiemu. Byłam ci akurat wedle tego brzeźniaka, co to za nim pastwiska wiejskie się zaczynają, wtem słyszę, dudni coś od rzeki. Obejrzałam się, patrzę, jedzie chłopiec Kajetanów na pastwisko, a za nim kilka koni ojcowych. Ze wsi inne dzieci jeszcze nie jechały, bo to on zawdy pierwszy być musi. Jak on nie ma być pierwszy, kiedy jemu potrzeba na te swoje sztuki przyjechać koniecznie samemu. Świadków on nie potrzebuje — nie bójcie się! Zaraz ci mię coś tak tknęło, przystanęłam sobie za krzakiem leszczyny i patrzę, co z tego będzie. Obejrzał się raz, obejrzał drugi raz, czy go kto nie podpatruje, a ja sobie myślę: mądryś ty ale i mnie w ciemię nie bili; przykucnęłam za krzakiem i czekam. Jak mu się już zdało, że bezpieczny, to kiedy ci nie gwiźnie, to moi ludzie kochani, aż mię zimno po kościach przeszło, ale jakoś zdążyłam się przeżegnać i nic. Zadarł łeb do góry i szuka czegoś. Spojrzałam i ja, pochmurno było, paskudnie, bo to przecie Pan Jezus na takie obrzydliwości pogody nie da. Jemu

widać pilno było, bo zagwizdał znowu. Czego ten poganin chce, myślę ja sobie. Naraz uradował się tak, że aż mię ciary przejęły, zaklaskał w ręce; ja spojrzę, a tu ptaszysko jakieś okrutne krąży nad nim, krąży, coraz bliżej, coraz bliżej... Moi ludzie kochani, zestarzałam się i tylko mi wyglądać, jak na sądzie Bozkim stanę, ale na życiu ani ja, ani nikt nie widział, żeby drapieżne ptastwo schodziło się do człowieka uczciwego i jadło mu z ręki. Jastrzębisko takie ci jak orzeł prawie wielkie siadło mu na kapelusie i, moi ludzie, źre mu z ręki chleb nieprzymierzając, jakby jaki kos, albo drugie stworzenie, co to się z człowiekiem łatwo podufali. Myślę ja sobie: dobryś ty widać i dobry ten, co cię tego wszystkiego ponauczał; muszę ja ludzi poczciwych ostrzedz, bo ty niewiaro nieszczęście jeszcze na całą wieś sprowadzisz. Kiedy ja sobie tak w głowie układam, aż tu kiedy nie zaszumi w boru, kiedy się nie zaroi w powietrzu od jakiegoś strasznego paskudztwa, to powiadam wam: wrony, sójki, kawki, kraski wszystko, co na usługi dyabła zawdy gotowe, stadami całemi latało, a tam w boru to najstarsze sosny gięły się ku ziemi, jakby latorózgi jakie. Dopiero jak ci zagrzmiało, jak trzasło tam ku wschodowi, tak i ono ptaszysko i to szkaradztwo wszystko uciekło sobie hen, hen, daj Boże za góry, za rzeki, na miejsca bezludne.

— Bójcie się Boga, moja Grzegorzowa! I to wszystko prawda?

— Jak mię tu żywą widzicie, moi ludzie! A coby ja za kobieta stara była, że mi dla uciechy ludzkiej dziwowiska jakieś opowiadać.

— A niechże go! Jeszcze też tego w Porębie jak świat światem nie bywało. Ani chybi nieszczęście jakie, nie daj Panie w złą godzinę wymówić, pomorek jaki na ludzi albo gadzinę. A tośmy się doczekali.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Zdrowie publiczne.

D-r Drecki w sprawozdaniu swojem o epidemii błonicy w powiecie Kaliskim taki podaje treściwy rezultat pomyślnego stosowania w tej chorobie wstrzykiwań surowicy. W ciągu 10 miesięcy zachorowało na błonicę 63 osób, z których 52 leczone były wstrzykiwaniem podskórnem serum przeciwdyfterycznego, a 11 nie leczono wcale, albo stosowano na nich inne dawniejsze metody. Z pierwszej kategoryi zmarło osób 4 (wyłącznie dzieci) — z drugiej 7. A zatem pierwsza kategorya wykazała procent śmiartelności: 7,6 — a druga 63,64 na sto, i w ten sposób daje się oznaczyć skuteczność nowej metody w stosunku do metod dawnych, albo do pozostawienia choroby naturalnemu biegowi, co ostatecznie na jedno prawie wychodzi. Doktór Drecki doszedł do rezultatu tak pomyślnego, iż nie wacha się polecić surowicy jak najszerszemu rozpowszechnieniu, radzi obowiązkowe wprowadzenie jej do szpitali prowincyonalnych, upominając lekarzy praktykujących na prowincyi, a nawet felczerów, aby się zaopatrywali w przyrząd do injekcyj, a aptekarzy, aby zaopatrzyli apteki w surowicę.

W Chojnach na szosie pomiędzy Łodzią a Pabianicami powstał nowy zakład leczenia metodą Knajpa. Lecznica pomieścić może 64 pacyentów stałych, ma pomoc lekarską i aptekę na miejscu, przytem dla wygody i przyjemności pacyentów salę jadalną wspólną, czytelnię zaopatrzoną w książki i pisma peryodyczne. Oświetlenie elektryczne i komunikacya telefonowa z Łodzią. Koszta kuracyi wraz z mieszkaniem i utrzymaniem całodziennem od 2 i pół do 5 rubli.

Warszawskie pogotowie ratunkowe, o którem tyle pisano w czasie Wystawy hygienicznej ma wejść niebawem w wykonanie, jak zapewnia inicyator hrabia Przeździecki.

„Medecine moderne" pisze, że pewien misyonarz francuzki, którego dwaj tragarze zostali pokąsani przez psa wściekłego, miał sposobność stwierdzić własnem doświadczeniem skuteczność metody leczenia, pospolicie praktykowanej w Chinach. Polega kuracya na spożyciu natychmiastowem surowej wątroby zwierzęcia wściekłego, przez którego zostało się pokąsanym. Sposób nie jest nowy; ze starożytnych wspomina o niem Pliniusz, a i w Europie próbowało go z dobrym skutkiem wielu lekarzy. Zachęcającem nie jest lekarstwo, ale niebezpieczeństwo jest tak groźne, że nie bardzo można grymasić w środkach.

Nauka i wykształcenie.

Warszawska szkoła dentystyczna wykwalifikowała w ciągu ostatnich lat 5 aż 186 uczennic, z których 86 uzyskało stopień lekarza dentysty. Z tej wielkiej liczby 7 tylko dentystek praktykuje w Warszawie; reszta rozsypała się po prowincyi, poszukując chleba, a największa podobno część wyjechała do Cesarstwa.

Do zarządu warszawskiego Towarzystwa dobroczynności wystąpiło grono muzyków z projektem swoim szerzenia zamiłowania muzyki wśród naszych sfer młodzieży rzemieślniczej. Rozpocząć się ma od nauki muzyki i śpiewu chóralnego w przytułku chłopców przy ulicy Freta. Kto wie jakie uspołecznienie pociąga za sobą obudzenie poczucia muzykalnego, komu znane są dobroczynne wpływy niemieckich Gesongvereinów na tamtejszą ludność robotniczą, ten z pewnością szczerze powinszuje pomysłu ludziom dobrej woli, którzy tę myśl powzięli i w czyn wprowadzić zamierzają.

Zabytki.

Wkrótce sprzedanym być ma w drodze licytacyi publicznej zamek w Czersku. Smutnie bardzo przedstawia się dzisiaj ta budowa, w jednej części zniszczona przez czas, z drugiej niemiłosiernie dewastowana przez wandalizm ościennych mieszkańców klassy mieszczańskiej i włościańskiej. Właściwie mówiąc pozostały z całości: trzy baszty, kilka ścian mocno nadwerężonych, most i brama. Możeby ktoś z posiadających pieniądz, a ceniących stare pomniki nabył to z myślą odrestaurowania. Choćby na zakład jaki filantropijny, dałaby się zużytkować ta olbrzymia ruina; położenie samo bardzo piękne, hygieniczne warunki również nader pomyślne.

Zmarli.

Ś. p. Witold Pruszkowski utalentowany artysta malarz.

Ś. p. Marya Napieralska, znana w świecie literackim pod pseudonymem Simary. Wieku lat 25.

Ś. p. Franciszek Ksawery Martynowski, urodzony w roku 1848. Był współpracownikiem wielu pism warszawskich; najwięcej ceniono jego prace z dziedziny sztuki stosowanej.

Ś. p. Michał Rogoziński, niegdyś prezes b. kommisyi sprawiedliwości, ostatnio prezes II-go departamentu warszawskiej Izby sądowej.

Wskazówki i rady.

Kluski lane krajane.

Zamiast zwyczajnych lanych kluseczek dobrą odmianą jest następująca. Rozbić na 3 osoby dwa żółtka, z łyżką mąki, białka ubić na pianę dobierać do piany utarte żółtka z mąką i wylać wszystko na gotujący się rosół. Gdy podrośnie pod pokrywą i widać że ugotowane, wyjąć łyżką durszlakową na talerz, pokrajać w długie paski i wrzucić w wazę w rosół poprzednio już przecedzony.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od redakcyi.

Sz. Prenumeratorki zapytujące o naukę tkactwa i ulepszone warsztaty tkackie, mamy honor uwiadomić, że odpowiednie informacye poczerpnąć będą zapewne mogły w szeregu artykułów, które drukuje „Tygodnik" pod tytułem: „Praca kobiet." Będzie tam niewątpliwie i o tkactwie mowa.

W-na A. G. w Bia. Bolero są modne bez rękawów. Wkładają się oddzielnie, albo przyczepiają stale na staniku z rękawami takimi jak suknia.

W-na I. W. Pokrycia koronkowe na meble zarzucają się tylko na górną poręcz, aby głowa nie wspierała się na obiciu. Co do rodzaju roboty zależy ona od gustu i ceny. Mogą być z koronki zwanej: *torchon*, fabryczne, albo *filet de guipure* t. j. wyszywane na siatce.

W-na S. W. Forma rękawa kosztuje kop. 30, spódnicy kop. 50. Adres: Maison Phoenix, Niecała 12.

W-na Kaz. w Mereczu. Forma na ciepłą pelerynę kosztuje kop 50. Adres zakładu: Maison Phoenix, Niecała numer 12.

W-na Mar. Stan. Wszystkim żądającym kwartału III-go „Tygodnika Mód" odmówić musimy ze względu, że nakład wyczerpany. Sz. pani policzyliśmy rubli 1 kop. 25 za kwartał IV, a reszta przeniesiona na rok 1897 w ilości rs. 1 kop. 75.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Kongres międzynarodowy berliński w obronie praw i dążeń kobiety (ciąg dalszy). — Kalejdoskop muzyczny (ciąg dalszy). — Zmarłe przedwcześnie. — Zkąd się biorą przestępcy? obrazek z niedalekiej przeszłości (ciąg dalszy). — Kronika. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 9).

51811

NIECAŁA 6. **DYWANY** NIECAŁA 6.

NADESZŁY: Perskie, Kaukazkie, Bucharskie, Tekińskie i inne.

Kilimki różnych wielkości.

WYBÓR WIELKI. — CENY NIZKIE.

Meble gotowe; przyjmuje się również zamówienia. Fasony wschodnie i europejskie fantazyjne. PORTYERY od rs. 4 za parę. Kapy, Serwety i Pokrycia na meble.

WIELKI WYBÓR MATERYJ JEDWABNYCH.

Materye jedwabne, czarne, gładkie i fantazyjne
Na bluzki, suknie i okrycia. Kanausy od kop. **45** za arszyn.

SZLAFROKI gotowe i na zamówienie.

Magazyn Kaukazki J. CHODŻEJNATOWA.

Magazyn mój nie posiada w Warszawie żadnych filij tylko **NIECAŁA 6.**

MAGAZYN FUTER

TYTUSA KOWALSKIEGO

d. J. Penkala,

ul. Senatorska № 10, w Warszawie,

poleca piękne futra damskie i męzkie, podług najnowszych fasonów. Modele oraz wszelkie nowości futrzane nadeszły. 51033

DLA PŁCI PIĘKNEJ NIEODZOWNA KSIĄŻKA.

Nauka czesania i fryzury damskiej

51722

teoretyczna i praktyczna. Dla użytku płci żeńskiej, opracował według własnych doświadczeń i różnych źródeł A. LENCZEWSKI, z 74 figurami i wzorami.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką pocztą rs. 1 kop. 40.

Nakład MAURYCEGO ORGELBRANDA w Warszawie, naprzeciw pos. Kopernika.

NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE TOWARZYSTWO AKCYJNE

pod firmą:

„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne,"

St.-Petersburg, Izmajłowski Prospekt № 27, dom własny,

założone w 1860 roku

nagrodzone złotym medalem na Wystawie w Paryżu w 1889 roku.

Specyfiki do kadzenia.
Eau de Lavande.
Ambrée double et triple.
Nadworna woda do kadzenia.
Leśna woda.
Papier do kadzenia; wstążka do kadzenia.
Trociczki do kadzenia mocno wonne.

Wyroby ***„St.-Petersburskiego Laboratoryum Chemicznego"*** nabywać można we wszystkich Perfumeryach i Składach Aptecznych. Kupujący raczą zwracać uwagę na obok zamieszczoną markę fabryczną i żądać wyraźnej firmy „St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne," posiadającej Skład Hurtowy tylko



5241

u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, przy ul. Żabiej № 3, (od Przechodniej № 4)

a nie zaś — sklep detaliczny.

Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474826

CENTRALNY SKŁAD

JAROSŁAWSKO-MOSKIEWSKICH FABRYKANTÓW

Nr 2. NOWO-MIODOWA Nr 2.

Otrzymał na ***sezon zimowy:***

Chustki wełniane. Kołdry bajowe i watowe. Barchany kolorowe i białe. Wełniane kaftaniki, kalesony, skarpetki i pończochy.

52115

NOWOŚĆ!!

Gotowe spódnice szewiotowe wierzchnie.

Skład zawsze zaopatrzony w wielki wybór *Płócien, Bieliznę stołową i gotową męzką.*

Przyjmuje się obstalunki na bieliznę męzką, damską i wyprawy.

Nr 2. NOWO-MIODOWA Nr 2.

JULIUSZA PANZERA

Jedyna w kraju koncesyonowana fabryka bielizny i wyrobów wełnianych systemu

profesora D-ra Jaegera

w Głównym Składzie **Wierzbowa 1,**

poleca w wielkim wyborze na sezon obecny, świeżo z zagranicy sprowadzone:

Wstążki fantazyjne, galony i woalki.
Bluzki jedwabne, wełniane i trykotowe.
Matinki puchowe, wełniane i jedwabne.
Halki puchowe, wełniane i jedwabne.
Chustki Himalaja duże i małe oraz jedwabne.
Kołdry, Pledy, Burki, Pelerynki, Żakiety i Sortie de Bal.
Kamasze eskimosowe i wełniane.
Kamizelki i serdaki wełniane i barankowe.
Pantofle filcowe damskie i dziecięce.
Ubranka, żakiety i palta dziecięce.

UWAGA. W pracowni wykonywają się wszelkie damskie i dziecięce toalety podług najświeższych zagranicznych modeli.

Wyłączna sprzedaż beretów francuskich. 52211

Marya Gajewska

49946

WŁASCICIELKA MAGAZYNU MÓD

przygotowała duży wybór kapeluszy na sezon Jesienny i Zimowy, jako też przyjmuje obstalunki podług najświeższych modeli.

Podwal Nr 16, w Warszawie.

W Szkole Malarsko - Przemysłowej

Alicyi Nowińskiej

36. Senatorska 36. 49536

Rozpoczną się lekcye dnia 1 Października. Zapisy przyjmują się codziennie od 11 do 2.

Milion Piosenek.

Wybór najpiękniejszych piosenek. Część I i II. Cena po kop. **20**, pocztą po kop. **25.**

SKARBCZYK ULUBIONYCH PIOSENEK.

Wybór najpiękniejszych kupletów z operetek Cena kop. **20**, pocztą kop. **25.**

Wielki wybór NOWYCH POWINSZOWAN

wierszem i prozą na wszystkie uroczystości familijne, przez **F. G. Rafalskiego,** cena kop. **25,** pocztą kop. **30.**

Książki te odznaczają się nader starannym doborem prac umiejętnie ułożonych. Do nabycia w księgarni **Ch. J. Rosenweina,** Marszałkowska 114, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi. (Pocztą nadsyłać można markami). 51122

Lekcye Tańców tanio!

w domach prywatnych i pensyach.

Aleksandrya 20, Czarnecki. 51425

Zaprawa politurowa w massie na posadzki i podłogi, bezbarwna i w kolorach, fabryki Feliksa Waręskiego, Tłomackie № 13.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Октября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**